



MARTA ŁABĘCKA

September Sun

beYA.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Redakcja: Anna Skóra

Polskie tłumaczenie fragmentu wiersza Marthy Medeiros z portugalskiego za zgodą autorki wykonała Dorota Dułańska-Krzywińska.

Grafikę na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

<https://beya.pl/user/opinie/voiage>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-9921-1

Copyright © Marta Łabęcka 2024

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



Rozdział 1

Podczas nocy takich jak te Julienowi zawsze wydawało się, że hotel budzi się do życia.

Kiedyś, gdy był jeszcze dzieckiem, bał się tego, przekonany, że to niespokojne duchy nawiedzają stary budynek na wzgórzu. Teraz, kiedy był dorosły i wiedział już, że to tylko wiatr podczas sztormu trzęsie konstrukcją, nauczył się znajdować ukojenie w złowieszczym skrzypieniu starego drewna. Zamykał oczy i wsłuchiwał się w te dźwięki, którym akompaniowały deszcz bębniący wściekle o szyby i odległy szum wzburzonego morza, jakby dom opowiadał historię przeznaczoną wyłącznie dla niego.

Historię, której za nic w świecie nie był w stanie spisać na kartce.

Westchnął sfrustrowany, odrywając wzrok od notesu na kolanach, gdy chęć rzucenia nim przez pomieszczenie stała się trudna do powstrzymania. Nieważne, jak bardzo chciał go zapęłnić słowami, puste strony drwiły z niego bezlitośnie, doprowadzając do szaleństwa.

Więc zamiast tego pozwolił, by jego oczy zaczęły błądzić po hotelowej recepcji. Mała lampka na kontuarze oświetlała wyłącznie jej niewielką część, tworząc cienie na ścianach i pozostawiając w mroku korytarze oraz schody prowadzące na piętro.

Ale Julien nie potrzebował światła – nawet w całkowitej ciemności, nawet gdyby stracił wzrok, do końca życia byłby w stanie przywołać w pamięci każdy najdrobniejszy szczegół, od zdjęć w ramkach wiszących za jego plecami, po słoje w drewnianych deskach podłogowych.

To na nich stawiał swoje pierwsze samodzielne kroki, kręcąc się pomiędzy nogami gości, których jego mama przyjmowała do hotelu. Po nich uczył się jeździć najpierw rowerem, później deskorolką, dopóki matka bądź któryś z pracowników nie wygonili go na zewnątrz. Nawet gdy po raz pierwszy wrócił pijany z imprezy, spędził noc na tej podłodze, bo nie był w stanie wejść na piętro do swojego pokoju.

Hotel był jego domem bardziej niż mieszkanie, które wynajmował w mieście, i w chwilach, kiedy niczego nie pragnął bardziej niż uciec z miasta, pocieszał się, że przynajmniej kocha swoje więzienie.

Całe Sangatte nim było. Najpiękniejsze więzienie na świecie z widokiem na Cieśninę Kaletańską, klatka ze ścianami z białej kredy majestatycznych klifów. Niespełna pięciotysięczne miasteczko w północno-wschodniej Francji, skryte pomiędzy znany na cały świat tunelem pod kanałem La Manche w Calais i przyciągającym tysiące turystów rocznie przylądkiem Cap Blanc-Nez.

Jednak chociaż samo Sangatte nie oferowało nic wyjątkowego, również cieszyło się popularnością wśród turystów. Głównie takich, którzy kończąc wizytę we Francji, szukali taniego miejsca, by przenocować, zanim wsiądą na prom powrotny lub w pociąg do Wielkiej Brytanii, albo takich, którzy nazajutrz ruszą w drogę do Paryża czy innej atrakcyjnej destynacji.

Julienowi nie umykała ironia płynąca z faktu, że miejsce, które nazywał domem, każdego dnia gościło ludzi, którym zazdrościł najbardziej na świecie.

Oni mogli wyjechać, wsiąść na pokład i zostawić Sangatte za sobą. On był zakotwiczony tam na zawsze, nie do ruszenia zupełnie jak klify.

Nie był w stanie zliczyć, ile razy marzył o tym, by móc tak po prostu spakować się i wyjechać. Choć raz nie być otoczonym przez znajome widoki i ludzi, którzy widzieli go w pieluchach. Przekonać się na własnej skórze, co prawdziwy świat ma mu do zaoferowania.

Jednak najbardziej Julien pragnął przestać się bać. Bo o ile Sangatte było więzieniem, tak strach był jego strażnikiem – nadgorliwym służbistą, pracoholikiem, który nigdy nie opuszczał posterunku. Zawsze czuwał, nieustannie pilnował, by Julien nigdy nie wyściubił nosa poza swoją strefę komfortu.

Właśnie dlatego Julien Favreau zakochał się w pisaniu. W jego głowie istniało milion wersji jego samego, jedna bardziej nieustraszona od drugiej, każda przeżywająca niesamowite historie, czerpiąca z życia garściami.

W jego głowie istniał świat, który stał przed nim otworem, gdzie nie było miejsca na ograniczenia spowodowane strachem.

Spojrzał ponownie na leżący na jego kolanach notatnik i obrócił długopis między palcami. Raz. Drugi. Trzeci.

Nic. Nawet pół zdania, ani jednego wyrazu.

– *Putain*¹ – przeklął, zamykając notes z trzaskiem.

Rzucił go na biurko razem z długopisem, godząc się z faktem, że tej nocy nic nie napisze. Znowu.

¹ *Putain* (fr.) – cholera

Słowa opuściły go kilka miesięcy temu i od tego czasu każda próba napisania czegokolwiek kończyła się właśnie tak – wściekłością, że przestała mu wychodzić nawet ta jedyna rzecz, w której czuł się naprawdę dobry. Świat, do którego tak kochał uciekać, zatrzasnął mu drzwi przed nosem.

Nie brakowało mu pomysłów ani chęci. Historie w jego głowie wręcz błagały, by przelał je na papier, ręce rwały się do pisania. Jednak za każdym razem, gdy już mu się wydawało, że odnalazł *to coś* i pokonał tę niewiadomego pochodzenia blokadę, gdy już był pewien, że tym razem coś napisze, kończył, wgapiając się godzinami w puste strony notatnika.

Drzwi hotelu otworzyły się tak gwałtownie, że w pierwszej sekundzie Julien pomyślał, że wiatr wyrwał je z zawiasów. Zaraz jednak dostrzegł stojącą w wejściu postać.

To jednak nie uspokoiło jego szaleńczo bijącego serca. Nie oczekiwali nowych gości, a już na pewno nie takich, którzy przybyliby o drugiej w nocy, więc nie był pewien, czego może się spodziewać.

Światło jego lampki nie docierało tak daleko, więc nie widział skrytej pod kapturem twarzy przybysza, który usiłował zamknąć drzwi, walcząc z napierającym na nie wiatrem.

Julien wiedział, że powinien się ruszyć albo chociaż odezwać, ale zamiast tego siedział sparaliżowany, czekając na to, co wydarzy się dalej. Przez zaledwie kilka sekund od pojawienia się nieznanego jego wybujała wyobraźnia zdążyła podsunąć mu przynajmniej kilka czarnych scenariuszy. Pierwszym było to, że jego lęki z dzieciństwa okazały się prawdziwe i w hotelu jednak są duchy. Chociaż nie sądził, że zjawy byłyby na tyle uprzejme, by zamykać za sobą drzwi.

Wszystkie te myśli okazały się absurdalne, gdy postać podeszła bliżej i Julien zrozumiał, że ma przed sobą żywą osobę. A dokładniej młodą dziewczynę.

Złoto – pomyślał, gdy opamiętał się na tyle, by być w stanie normalnie myśleć.

O ile określanie ludzi kolorami można nazwać normalnym. Ale jego umysł zawsze działał w ten sposób – osoby, kształty, cyfry, nawet dźwięki i smaki – w jego głowie wszystko miało swoją barwę.

I stojąca przed nim dziewczyna była złotem. Kolorem, w którym każde dziecko zawsze pragnęło mieć kredkę, by móc narysować słońce, bo żółty nie oddawał go wystarczająco dobrze.

Zatracił się w tym porównaniu tak bardzo, że chwilę zajęło mu zauważenie, że dziewczyna coś mówi. Albo przynajmniej próbuje.

– *Je... Je voudrais réserver une chambre pour une...*²

– Twój francuski jest okropny – przerwał jej po angielsku, ratując i ją, i siebie przed dalszym słuchaniem, jak kaleczy jego ojczysty język.

W Sangatte, choć urzędowym językiem był naturalnie francuski, czy to przez bliskość Wielkiej Brytanii, historię, czy nieustanną obecność anglojęzycznych turystów, praktycznie wszyscy mieszkańcy w jakimś stopniu znali angielski. Julien biegle, bo ze względu na pochodzenie matki w jego rodzinie mówiło się dwoma językami.

² *Je... Je voudrais réserver une chambre pour une...* (fr.) – Chciałabym... chciałabym zarezerwować pokój dla jednej...

Nic z tego jednak nie tłumaczyło, dlaczego pierwszą rzeczą, jaką powiedział do złotej dziewczyny, był tak niegrzeczny komentarz.

Ta jednak uśmiechnęła się szeroko, jakby powiedział jej najpiękniejszy komplement. Jakby dokładnie to chciała usłyszeć.

– Chciałabym wynająć pokój. Jednoosobowy – dodała wciąż z tym samym uśmiechem, który Julien mógł określić jedynie jako czarujący.

Co było zaskakujące, bo dziewczyna znajdowała się w opłakanym stanie. Policzki i nos miała czerwone, trzęsła się z zimna, jej ubranie było przemoczone, tak samo jak włosy, z których woda kapła na kontuar.

A mimo to w jej uśmiechu było coś, co sprawiło, że Julien na moment zapomniał, co powinien zrobić.

Opamiętał się po chwili i speszony spuścił wzrok, by uruchomić komputer. Jednak ekran rozświecił się jedynie na sekundę, po czym zgasł razem z lampką i pomieszczenie pogrążyło się w ciemności.

Dziewczyna się roześmiała.

– Przepraszam za to, przy tej pogodzie często się to zdarza – wyjaśnił, po omacku otwierając szufladę, do której kilka godzin wcześniej włożył zapalki i świeczkę, gotowy na taki rozwój wydarzeń. – Prąd wróci do rana. A tymczasem... – Zapalił świeczkę, wyjął czystą kartkę papieru i sięgnął po długopis, którym wcześniej *próbował* pisać. – Będę potrzebował twoich danych.

– September Vidal.

– Muszę zobaczyć jakiś dokument tożsamości.

Podniósł wzrok i zauważył, że uśmiech dziewczyny się zmienił.

– Widzisz... jest taki jeden mały problem – wyznała ze skrzywioną miną. – Skradziono mi w Paryżu portfel, w którym miałam wszystkie dokumenty i kartę kredytową. Nie mam przy sobie nic poza odrobiną gotówki, którą trzymałam w osobnej kieszeni plecaka.

Skoro to według niej jest mały problem, to chciałbym zobaczyć, co uważa za duży – pomyślał, krzywiąc się w duchu na to, co musiał powiedzieć.

– W takim razie...

– Błagam, nie mów, że ci przykro – przerwała mu z nagłym ożywieniem, bezbłędnie zgadując, co miało paść z jego ust. – Najpierw pół dnia spędziłam, czekając na komisariacie, aż ktoś znajdzie czas, żeby spisać moje zeznania. Potem kilka godzin na rozmowach przez pożyczone telefony, najpierw z bankiem, żeby zablokować kartę, a potem z brytyjską ambasadą, żeby uzyskać paszport tymczasowy – wyrzuciła z siebie z pasją. – Wszystkim było przykro, *ale*. Przykro mi, ale proszę się nie łudzić, że znajdziemy złodzieja. Przykro nam, ale nie możemy wysłać nowej karty kredytowej, jeśli nie jest pani w stanie potwierdzić swojej tożsamości. Przykro mi, ale czas oczekiwania na paszport tymczasowy wynosi przynajmniej dwa dni robocze – opowiadała z ożywieniem, zmieniając ton głosu dla każdej z cytowanych osób. – A oczywiście ze wszystkich dni tygodnia musieli mnie okraść w czwartek – dodała z ironicznym śmiechem i wzięła pierwszy od dłuższej chwili głęboki oddech.

Zaskakujące dla Juliana było to, że nawet opowiadając całą tę historię, nie wydawała się smutna. Mimowolnie zaczął się zastanawiać, czy w ogóle cokolwiek jest w stanie sprawić, by całkiem straciła humor.

– Więc wsiadłam w pociąg i na gapę przyjechałam tutaj, bo nie przeżyłabym do przyszłego tygodnia w stolicy, mając siedemdziesiąt euro w kieszeni. I liczyłam, że uda mi się ubłagać kogoś, żeby wpuścił mnie na prom do Dover, ale zgadnij co? Promy zostały wstrzymane ze względu na sztorm – odpowiedziała, nie czekając, aż Julien się odezwie. – Nie mając innego wyjścia, urządziłam sobie spacer po waszym pięknym mieście. Chodziłam od jednego hotelu do drugiego, jednak usłyszałam kolejną serię „przykro mi, ale...”.

Julien milczał, oszołomiony słowotokiem, jakim go załaza. Nie miał pojęcia, co robić ani jak jej pomóc. Siadał za recepcyjnym biurkiem, odkąd miał trzynaście lat, ale jeszcze nigdy nie był świadkiem takiej sytuacji. Nie mówiąc już o byciu tą osobą, która musi podjąć decyzję.

– Puenta jest taka, że jeśli jeszcze raz usłyszę „przykro mi”, wybuchnę płaczem i nie uspokoję się, dopóki sam konsul osobiście nie wręczy mi paszportu, żebym mogła wrócić do domu.

– W takim razie: *wyrazy współczucia*. – Nieśmiało uniósł kącik ust, unikając słów, których tak bardzo nie chciała usłyszeć.

W nagrodę został obdarzony kolejnym czarującym uśmiechem i nagle poczuł wdzięczność za niewielką ilość światła, bo jego policzki spłonęły rumieńcem.

– To niewiele lepsze niż „przykro mi”, ale doceniam starania – stwierdziła, kręcąc głową. – Jesteś jedynym człowiekiem, który może uratować mnie od spędzenia reszty nocy na zewnątrz. Więc błagam, *błagam*, wynajmij mi pokój. – Złożyła dłonie jak do modlitwy i oparła je o kontuar. – Tylko na jedną noc, a jutro z samego rana pojadę do Calais i będę dręczyć moją historią ludzi w porcie.

Już im współczuję – pomyślał, bo po zaledwie kilku minutach rozmowy z September wiedział już, że dziewczyna nie jest typem osoby, który łatwo przyjmuje słowo „nie”. Miał też przeczucie, że jeśli coś sobie wbije do głowy, to to osiągnie, choćby miała zamęczyć pół miasta swoim gadaniem.

Jakby na potwierdzenie jego przekonania September odezwała się znowu:

– Słuchaj, jeśli myślisz, że cofnę się przed błaganiem cię po francusku, to jesteś w błędzie, a sądzę, że oboje wolelibyśmy tego uniknąć – rzuciła półzartem.

Julien parsknął pod nosem, chociaż wcale nie było mu do śmiechu. Nienawidził sytuacji takich jak ta, kiedy jego całkowity brak asertywności kłócił się z potrzebą postępowania według zasad.

Domyślał się, co na jego miejscu zrobiłaby matka, ale ta świadomość w żaden sposób nie ułatwiła mu podjęcia decyzji, bo w niczym nie przypominał Corianne. Ona uwielbiała, gdy życie ją zaskakiwało, nawet negatywnie, i zawsze z otwartymi ramionami witała wszystkie nieoczekiwane zwroty akcji i przeciwności losu.

Mimowolnie przeniósł wzrok na notatnik, który kpił z niego jeszcze chwilę temu.

Co zrobiłby Zyair? – zastanowił się, jak zwykle szukając otuchy w swoim wymyślonym bohaterze.

Doskonale wiedział, jaką decyzję on by podjął. Zyair bez wahania dałby się porwać niezwykłości tej chwili – nigdy nie przepuszczał szansy, by przeżyć przygodę.

Tyle że Julien nie był Zyairem. Nie miał jego odwagi, nie wiódł życia na krawędzi. Nie lubił nawet wyściubiać nosa poza granice, chociaż najczęściej istniały tylko w jego głowie.

Dlatego uniósł spojrzenie na tę złotą dziewczynę, dla której Zyair zapewne by przepadł, i otworzył usta, mając zamiar grzecznie poprosić ją o wyjście.

– Zapłacę więcej, oddam ci wszystkie pieniądze, jakie mi zostały. Mogę nawet posprzątać po sobie pokój. Spójrz. – Wyciągnęła spod ubrania naszyjnik. – Szczere złoto. Jest w mojej rodzinie od pięciu pokoleń. Dam ci go, żebyś mógł sprzedać, jeśli pozwolisz mi tu dzisiaj zostać.

Po raz kolejny podczas tej rozmowy nie miał pojęcia, co powiedzieć. Wątpił, by kiedykolwiek czuł taką desperację, jakiej w tym momencie doświadczała September. Na pewno nie aż taką, by być gotowym oddać rodzinną pamiątkę obcej osobie.

W tym momencie wiedział już, że żadne wytłumaczenie nie byłoby wystarczające, by odmówić. A tak naprawdę nie miał żadnego, oprócz jego własnego lęku przed złamaniem zasad.

Dawno nie czuł się tak absurdalnie z samym sobą. Bo wiedział, że świat się nie zawali, jeśli postąpi wbrew regułom. Że to nic takiego.

Cały świat może nie, ale mój już tak – pomyślał.

Ostatecznie o wszystkim zdecydował jego brak asertywności. Zgodził się, bo nie miał w sobie wystarczająco dużo siły, by odmówić.

– To będzie dwadzieścia euro. – Nawet nie połowa tego, ile powinna zapłacić, ale większość doby hotelowej już i tak minęła, a w dodatku nie było prądu. Miałby wyrzuty sumienia, gdyby wziął pełną kwotę. – Śniadanie podawane jest od siódmej do dziesiątej, doba hotelowa kończy się o dwunastej. W pokojach obowiązuje całkowity zakaz palenia wyrobów tytoniowych – wyrecytował formułkę, czerpiąc pocieszenie ze znajomej procedury.

Odwrócił się i na oślep sięgnął po pierwszy lepszy klucz. Gdy jej go wręczał, posłała mu uśmiech, jakby podawał jej co najmniej lekarstwo na raka.

– Ratujesz mi życie – stwierdziła z przejęciem, ale zignorował jej słowa.

Z szuflady wyciągnął jeszcze jedną świeczkę i odpalił ją od tej, która była jego jedynym źródłem światła.

– Pokój jest na drugim piętrze. Drzwi na końcu korytarza po lewej. – Ostrożnie wystawił w jej stronę świeczkę. – Potrzebujesz pomocy w zanieśieniu... – urwał, gdy zorientował się, że dziewczyna ma ze sobą tylko plecak.

– Nie trzeba, *merci*³ – dorzuciła z okropnym akcentem.

Przez moment wydawało mu się, że to kaleczenie jego języka było celowe, ale pokręcił głową, odrzucając dziwną myśl.

Odchylił się na fotelu, opierając głowę o oparcie, i w niemal całkowitej ciemności wsłuchiwał się w skrzypienie starego drewna, gdy dziewczyna wchodziła na piętro. Nieobecny wzrok utkwiał w notesie.

Kroki w końcu umilkły i Julien znowu został sam na sam z jękami hotelu i wyciem wiatru za oknami. Dopiero wtedy dostrzegł krople wody na skórzanej okładce notatnika. Musiały spaść z włosów September.

Zirytowany, że woda mogła zniszczyć ważny dla niego przedmiot, wziął go do ręki, by ją zetrzeć.

Znowu to poczuł – to nieznośne, niemożliwe do zignorowania mrowienie w palcach, które mówiło o chęci złapania długopisu, by coś napisać.

³ *merci* (fr.) – dziękuję

Przekonany, że skończy się tak samo jak zawsze, ale nie będąc w stanie się oprzeć, otworzył notes na losowej pustej stronie i chwycił długopis.

I nic się nie wydarzyło.

– Na co ja liczyłem? – wyszeptał do siebie, kręcąc głową.

Uciekł spojrzeniem od kartki, a jego wzrok natrafił na pieniądze, które September zostawiła na ladzie. Znowu poczuł mrowienie.

Gdy wrócił do notesu, jego lewa dłoń zaczęła poruszać się wbrew jego woli. Zaczęła pisać.

Był środek ulewnej nocy, gdy do starego hotelu na wzgórzu weszło Słońce.

Nic wielkiego, jedno krótkie zdanie.

Ale po miesiącach, kiedy nawet to zdawało się niemożliwe, Julien poczuł się, jakby właśnie skończył pisać całą powieść.

Wtedy nie wiedział jeszcze, że ta historia dopiero się zaczęła.



Rozdział 2

September prawie nie zmrużyła oka.

Nie dlatego, że łóżko w pokoju hotelowym za bardzo różniło się od jej własnego. Od lat nie posiadała łóżka.

Nie dlatego, że spała w obcym miejscu. Od lat nie posiadała domu.

Sen nie przychodził, bo jej serce było zbyt przejęte czekaniem na świt. Za każdym razem, gdy już przysypiała, zrywała się w panice, że przegapiła wschód słońca, i chciała biec do okna, by się przekonać, czy widać już tę jedną rzecz, dla której rzuciła wszystkie swoje plany.

Chociaż „plany” to duże słowo. Ostatnie cztery lata jej życia opierały się na ich braku – na spontanicznych decyzjach, obieraniu kierunku pod wpływem chwili, bukowaniu biletów na samolot tuż przed odlotem, wsiadaniu na statki i do pociągów bez sprawdzenia wcześniej, gdzie zmierzają.

W podobny sposób trafiła tutaj – kilkanaście godzin temu siedziała na niewygodnym krzeselku na lotnisku Charles’a de Gaulle’a, obserwując tablicę w poszukiwaniu następnego celu podróży, gdy z torebki przechodzącej obok kobiety wypadła broszura. September podniosła ją z ziemi z zamiarem oddania właścicielce, ale ta zniknęła w tłumie, zostawiając dziewczynę z ulotką w ręce. Więc September wróciła na swoje miejsce

i z nudów zaczęła ją przeglądać. Tam trafiła na wzmiankę, obok której nie mogła przejść obojętnie. Decyzja podjęła się sama.

Bo broszura okazała się przewodnikiem po północno-wschodniej Francji i według informacji w niej zawartej z kilku miejscowości położonych na wybrzeżu można było dostrzec klify w Dover po drugiej stronie Cieśniny Kaletańskiej. Były widoczne tylko przy odpowiedniej pogodzie, ale dla September to było prawie tak, jakby ktoś podarował jej prezent i zapewnił, że jeśli pojedzie, zobaczy dom.

Nie była nawet pewna, czy jeszcze wie, co to słowo oznacza. Znała sześć języków, ale „dom” był obcym pojęciem w każdym z nich. Zwiedziła pół globu, ale nigdzie nie było miejsca, które mogłaby tak nazwać. Widziała wszystkie cuda świata, ale każdy z nich bladł przy wspomnieniu wschodu słońca oglądanego z okna jej dziecięcej sypialni. Próbowала dziesiątek kuchni, ale ani jedna nie równała się z potrawami jej mamy. Poznała setki osób, ale nikt nie był w stanie wywołać poczucia bezpieczeństwa, jakie oferowały ramiona jej taty.

Kiedy więc los dał jej szansę, by odzyskać chociaż marny ułamek tego, za czym jej serce tęskniło bez względu na to, ile tysięcy kilometrów dzieliło ją od miasta, w którym się wychowała, przyjęła ją bez wahania.

Ale kiedy na niebie pojawiły się w końcu pierwsze oznaki nadchodzącego dnia i September wyrzała przez okno hotelu w Sangatte, położonego zaledwie trzydzieści parę kilometrów od Dover, widok na klify przysłoniła jej gęsta mgła. Brak wiatru nie zwiastował, by w najbliższym czasie miała zniknąć.

To nic – powiedziała sobie ze wzrokiem wciąż wbitym w horyzont, jakby intensywność jej spojrzenia mogła przepędzić mgłę. To komplikowało jej plany opuszczenia hotelu niezauważoną, opóźniało wyruszenie w dalszą podróż, narażało ją na

dodatkowe ryzyko związane z przebywaniem w Sangatte, zwiększało prawdopodobieństwo szeroko pojętej katastrofy, ale *to nic*. Coś wymyśli. Jak zawsze. Spadnie na cztery łapy, nieważne, ile czarujących uśmiechów i niewiarygodnych historyjek będzie ją to kosztowało.

Poprzedniej nocy miała szczęście. Wystarczyło, by tamten recepcjonista zapytał o dokument, który wydają na policji w przypadku kradzieży paszportu, i całe jej kłamstwo zaczęłoby się sypać. Musiałaby wymyślić kolejne, by wytłumaczyć, dlaczego nie ma nic takiego albo w jaki sposób zgubiła zaświadczenie.

Oczywiście o wiele łatwiej byłoby po prostu pokazać paszport, który przez cały czas leżał bezpiecznie na dnie jej turystycznego plecaka, owinięty koszulką *pożyczoną* od Portugalczyka, u którego spędziła kilka nocy pół roku temu w Armenii. Tyle że September już dawno temu nauczyła się, że bezpiecznie jest ograniczać okazywanie dokumentów do niezbędnego minimum, jakim w jej przypadku był wyjazd do innego państwa. Chociaż nawet wtedy potrafiła znaleźć sposób, by tego nie robić.

Posługiwanie się fałszywymi dokumentami wymagało sporej dawki kreatywności.

Na szczęście September miała jej w nadmiarze.

– Poproszę Bernarda, żeby się tym zajął, jak tylko skończy...

Corianne mówiła dalej, ale słowa matki przestały docierać do Juliana, jakby ktoś w połowie wypowiedzi postawił między nimi dźwiękoszczelną szybę. Najpierw kątem oka zauważył postać wchodzącą do restauracji, a gdy tylko uniósł głowę, by z nawyku sprawdzić kto to, cała jego uwaga skupiła się na dziewczynie przybyłej minionej nocy.

Nie mylił się, gdy uznał, że była złotym kolorem, ale dopiero teraz, w świetle dnia, w pełni dostrzegł jego intensywność. Każda z osób obecnych tego poranka w restauracji była pastelową, stonowaną czy nawet przygaszoną wersją danej barwy, ale nie ona. W jego oczach September Vidal świeciła najbogatszym odcieniem czystego złota, jak samo słońce podczas ostatniej godziny przed zachodem.

Dziewczyna uniosła nagle głowę znad bufetu, jakby wyczuła czyjś wzrok na sobie. Co pewnie nie było trudne, bo Julien wpatrywał się w nią z przenikliwością stalkera, który właśnie upatrzył sobie ofiarę. Bez trudu odnalazła go wśród zajętych stolików, a Julien zbyt wolno uciekł wzrokiem i ich spojrzenia spotkały się na moment, zanim zawstydzony spuścił głowę na swój pusty talerz.

Jego zażenowanie jedynie wzrosło, gdy przypomniał sobie o zdaniu, które napisał ostatniej nocy w notesie. Pierwszym, jakie od miesiący był w stanie z siebie wycisnąć. I było *o niej*.

Nigdy wcześniej tego nie zrobił – wszystkie historie, które stworzył, były kompletnie oderwane od rzeczywistości, w jakiej żył na co dzień. Nigdy nie inspirował się ludźmi, których spotykał. Aż do teraz.

I nawet jeśli to było tylko jedno zdanie, wyjątek od reguły, dla Juliena stanowiło odejście od normy – coś, z czym nie czuł się komfortowo.

Dlaczego w ogóle wciąż tutaj była? Czy nie obiecywała mu wczoraj, że zniknie z samego rana?

Sam praktycznie zaprosiłeś ją na śniadanie – wytknął sobie.

Tylko skąd wczoraj mógł wiedzieć, że dzisiaj będzie poirytowany jej obecnością, bo nieświadomie przyczyniła się do tego, że zrobił coś inaczej niż zawsze, co było absurdalne, ale w jego głowie było wystarczającym powodem?

– Coś jeszcze? – Corianne odłożyła długopis, skończywszy zapisywać kolejny punkt na niekończącej się liście rzeczy do zrobienia, ale jej syn był za bardzo zaaferowany własnymi myślami, by ją usłyszeć. – Jules?

– T-tak?

– O, wróciłeś na ziemię. Świetnie – skomentowała rozbawiona. Była zbyt przyzwyczajona do tego, że jej dwudziesto-pięcioletni syn buja w obłokach częściej niż niejedno dziecko, by się irytować. – Pytałam, czy mamy coś jeszcze do omówienia, zanim wrócisz do domu.

– Tak – powtórzył, tym razem oznajmiająco, bo był pewien, że miał jeszcze kilka spraw, które chciał omówić z matką podczas ich cotygodniowego biznesowo-rodzinnego śniadania. Tyle że nie był w stanie skupić się wystarczająco, by sobie przypomnieć, jakie to sprawy.

Uratowała go komórka matki, bo przychodzące połączenie odwróciło uwagę Corianne.

– Poczekaj – poprosiła, unosząc telefon do ucha. – *Oui* ?⁴

Julien może i wrócił na ziemię, ale kątem oka wciąż widział September, a każdy jej ruch dekoncentrował go tak, jakby ktoś w pomieszczeniu puszczał zajączki. Dziewczyna była jak plamka światła i poruszała się po restauracji z taką swobodą, jakby jadała tu śniadania codziennie, co dodatkowo intrygowało Juliena, bo nie rozumiał, jak to robiła.

Sytuacji nie poprawiało to, że ze wszystkich wolnych stolików wybrała akurat ten, który stał na skos od niego i Corianne. Niewystarczająco blisko, by ktoś oprócz Juliena zwrócił na to uwagę czy uznał za nienaturalne, ale z tej odległości mogła

⁴ *Oui* ? (fr.) – Tak?

bez trudu podsłuchiwać ich rozmowę, jeśli tylko by chciała. Po co miałyby to robić – było pytaniem, na które nie znalazł odpowiedzi.

– Gerard zaraz będzie z dostawą, więc powoli musimy kończyć – oznajmiła Corianne, gdy skończyła rozmowę. – O czym jeszcze chciałeś porozmawiać?

– Emily – wyrzucił z siebie, skupiwszy się na tyle, by w końcu poruszyć temat, od którego powinien zacząć spotkanie z matką, ale świadomie odkładał go w czasie.

Corianne się skrzywiła, wiedząc, że to, co zaraz usłyszy, jej się nie spodoba. Odkąd trzy miesiące temu zatrudniła pokojówkę, jej imię pojawiała się w rozmowach Corianne z synem regularnie. Głównie w negatywnym kontekście.

– Co znowu zrobiła? Spóźniła się? Nie przyszła do pracy? Była niemiła dla gości? – zgadywała, wymieniając najczęściej powtarzające się punkty z listy przewinień młodej dziewczyny.

– Gorzej. Morgane przyłapała ją wczoraj na kradzieży gotówki z pokoju pary z czwórki. Zmusiła ją, żeby odłożyła wszystko na miejsce, więc goście o niczym nie wiedzą, ale...

– Ale i tak musimy ją zwolnić – dokończyła, garbiąc się, jakby na jej ramionach spoczął ciężar tej decyzji.

Prowadziła hotel od dwudziestu pięciu lat i na palcach jednej ręki mogła zliczyć, ile razy była zmuszona kogoś zwolnić. Te decyzje nigdy nie przychodziły łatwo – *Mer des Rêves*⁵ był jej domem, a jego pracownicy rodziną, bez względu na to, czy przepracowali kilkanaście lat, czy kilka miesięcy.

Po części dlatego dotychczas przymykała oko na liczne przewinienia Emily i dawała jej kolejne szanse, licząc, że dziewczyna

⁵ *Mer des Rêves* (fr.) – Morze Snów

zmieni swoje podejście. Drugi powód wynikał już mniej z jej miękkiego serca, a bardziej z prostego faktu, że nawet nie najlepszy pracownik był lepszy niż brak pracownika.

I teraz, gdy miarka się przebrała i musiała zwolnić Emili, właśnie ta kwestia stała się jej największym problemem.

– Będziemy potrzebować kogoś na jej miejsce. – Stwierdziła na głos oczywisty fakt. – I to pilnie. Jutro mamy wesele, pierwsi goście mogą się pojawić dosłownie w każdej chwili, a bez Emili zabraknie nam nie tylko pokojówki, ale też kelnerki na sobotę.

– Czyli na dobrą sprawę potrzebujemy kogoś na wczoraj. Najpóźniej – zironizował Julien w ramach kiepskiego żartu, bo nie miał pojęcia, co innego mógłby powiedzieć, żeby pocieszyć matkę.

Znalezienie pracownika w tak małym mieście jak Sangatte graniczyło z cudem, zwłaszcza jeszcze przed końcem roku szkolnego. Miejscowi albo prowadzili swoje biznesy, albo woleli się zatrudniać w Calais, gdzie mieli lepsze perspektywy, a przede wszystkim wyższą płacę.

– Musiałeś mi o tym mówić? – rzuciła niezadowolona półżartem, jakby to Julien był źródłem problemu, który spadł na nich oboje. – Mogłeś przemilczeć całą sprawę albo chociaż poczekać z powiedzeniem mi, żebym mogła ją zwolnić dopiero po weselu.

– Wybacz, że chcę dobrze dla hotelu i dla ciebie, to się więcej nie powtórzy. – Uniósł ręce w obronnym geście, a jego nieposłuszny wzrok znowu powędrował w kierunku September. Zreflektował się jednak, zanim dziewczyna zdążyła to zauważyć.

Corianne wyprostowała się nagle i jeszcze zanim się odezwała, Julien wiedział, że uznała, iż czas na bezczynne uzalanie się dobiegł końca.

– Coś wymyślimy. To jeszcze nie koniec świata.

– Pewnie, że nie. – Parsknął sarkastycznym śmiechem. – Weszliśmy w najintensywniejszy okres roku i brakuje nam nie jednej, ale dwóch osób, bo nie każdy kandydat będzie na tyle zdesperowany, żeby pracować na dwóch stanowiskach jednocześnie. To znaczy jeśli w ogóle znajdzie się jakikolwiek kandydat w ciągu następnych kilku godzin, na co jest przecież tak wielka szansa, bo ludzie codziennie walą drzwiami i oknami, żeby u nas pracować. Ale to nic takiego.

Dla Corianne nic nigdy nie było końcem świata i Julien był przekonany, że nawet w obliczu prawdziwej apokalipsy kobieta do samego końca z uśmiechem przekonywałaby kogo tylko może, że wszystko będzie dobrze.

– Po kim ty masz ten pesymizm? – Corianne skrzywiła się z udawaną niechęcią, niezmiennie od lat zastanawiając się, jak to możliwe, że jej rodzony syn jest jej skrajnym przeciwieństwem.

– To się nazywa zdrowy rozsądek – poprawił ją.

– Tego też nie mam pojęcia, po kim odziedziczyłeś. Bo na pewno nie po mnie, a już tym bardziej nie po swoim ojcu.

– Po mnie. – Trzeci głos wtrącił się z ciężkim akcentem, zanim płynnie przeszedł na swój ojczysty język, zwracając się do Corianne. – Gerard przyjechał i czeka na ciebie.

Powiedzenie, że Bernard był dla Juliana jak ojciec, byłoby przesadą, ale jednocześnie chłopak nie sądził, że potrafiłby wyobrazić sobie życie bez siwowłosego mężczyzny. A to wiele znaczyło, bo poza nim istniały tylko dwie osoby, o których Julien mógł to szczerze powiedzieć, i jedną z nich była Corianne.

Bernard Moreau był nie tylko nieodłączną częścią codzienności, ale też drugą połówką jego matki w sposób, w jaki nawet ojciec Juliana nigdy nie był. Przez dwadzieścia parę lat trwania

ich przyjaźni wszystkie jego mocne strony uzupełniały słabości Corianne, oferując rozwagę i powściągliwość jako przeciwagę jowialnego charakteru kobiety.

Więc może to naprawdę on wpoił Julienowi rozsądek.

– Dziękuję. – Corianne posłała mu promienny uśmiech i przyjęła dłoń, którą wystawił, by pomóc jej wstać. Drugą złapała swoją nieodłączną laskę. Zanim odeszła, odwróciła się jeszcze do syna. – Odniesiesz nasze talerze do kuchni, jak skończysz? I podziękuj ode mnie Sal. O, jak już tam będziesz, przypomnij jej...

– Cora, daj chłopakowi wrócić do domu i się przespać. Salomé pamięta o propozycjach menu na wesele w przyszły weekend, rozmawiałem z nią wczoraj, zajmie się tym w niedzielę – zapewnił Bernard, jak zwykle bez trudu odgadnąwszy, co miała na myśli, prowadząc ją w stronę wyjścia z restauracji.

Dopiero kiedy Bernard wspomniiał o spaniu, Julien uświadomił sobie, jak bardzo jest zmęczony. Na ogół późne dyżury w recepcji nie były dla niego problemem. Był przyzwyczajony do nocnego trybu życia, bo najlepiej mu się wtedy pisało, i to głównie dlatego brał na siebie znienawidzoną przez innych pracowników zmianę.

W hotelu, poza wieczorami, kiedy odbywały się wesela, rzadko cokolwiek się działo po północy, ale Corianne upierała się, że ktoś musi być w recepcji o każdej porze, więc ten układ był najkorzystniejszy dla wszystkich – Corianne była zadowolona, że ktoś jest w pogotowiu, gdyby któryś z gości czegoś potrzebował; pracownicy recepcji cieszyli się, że nie muszą spędzać nocy na beczynnym siedzeniu na niewygodnym krześle, a Julien piekł dwie pieczenie na jednym ogniu, jednocześnie pracując i pisząc. Dodatkowa korzyść płynęła z faktu, że ta pora

rzadko kiedy wymagała kontaktu z innymi ludźmi, co nie było jego najmocniejszą stroną, jako że jego dwiema ulubionymi rzeczami były samotność i spokój.

Jednak wczorajsza zmiana nie owocowała żadną z tych rzeczy. Pomiedzy sytuacją z Emily, zaraz po tym, jak pojawił się w hotelu, uspokajaniem przestraszonych gości, że zbliżająca się nawałnica nie zagraża ich bezpieczeństwu, i pojawieniem się September w środku nocy Julien miał jedynie kilka chwil wytchnienia, więc teraz był wyczerpany ilością wydarzeń.

Zamknął na moment oczy, próbując odciąć się od bodźców z zewnątrz. Chciał zebrać w sobie wystarczająco energii, by przetrwać pogawędkę z Salomé, która bezsprzecznie czekała go, gdy pójdzie do kuchni odnieść talerze. Szefowa kuchni była największą gadułą, jaką znał, co czyniło ją osobistym koszmarem Juliana, który rozmawiać nie lubił wcale.

– *Bonjour*⁶.

Nawet gdyby nie był pewien, do kogo należy melodyjny głos, to okropny akcent, który miał wątpliwą przyjemność słyszeć minionej nocy, nie pozostawiał wątpliwości.

I się nie mylił, bo gdy otworzył oczy, naprzeciw niego, na krześle, które wcześniej zajmowała Corianne, siedziała September, obserwując go z przekrzywioną głową, jak jakiś ciekawy okaz.

Julien, gdy tylko odzyskał zdolność oddychania, którą bliskość dziewczyny z nieznanego mu powodu na moment zabrała, również zaczął jej się przyglądać z uwagą i wyłapywać wszystkie niemożliwe do zauważenia podczas ich pierwszej rozmowy szczegóły.

⁶ *Bonjour* (fr.) – Dzień dobry

Jasne, sięgające do pasa włosy w odcieniu *złotego* blondu. Duże, bursztynowe oczy, z ciemną obwódką, które zdawały się wiedzieć więcej niż on. Łagodne rysy twarzy, nadające jej delikatności. Piegi na drobnym nosie, będące bardziej wynikiem spędzania dużej ilości czasu na słońcu niż zasługą genów, podobnie jak jej karnacja.

„Piękna” było pierwszym określeniem, jakie przyszło mu do głowy, ale w tym samym momencie, w którym o tym pomyślał, zrozumiał, że to zbyt banalne, by ją właściwie opisać.

Każdy element jej wyglądu był pospolity, niczym niewyróżniający się, ale całość tworzyła coś nieuchwytnego, co sprawiało, że trudno było odwrócić wzrok.

– To twój prawdziwy kolor włosów? – Pytanie opuściło jego usta, zanim zdołał się powstrzymać, i skrzywił się w duchu, gdy usłyszał, jak dziwne było.

Właśnie dlatego nie przepadał za rozmawianiem z ludźmi. Jego myśli wydostawały się na zewnątrz bez jego zgody, mówił rzeczy, których nie powinien, przez co jego rozmówcy uznawali go za dziwaka, czuli się urażeni albo zwyczajnie zaczynali z niego drwić.

Jednak September jedynie uniosła brew, przekrzywiając głowę w drugą stronę, zanim odparła:

– To twój prawdziwy kształt głowy? – Jej ton nie był prześmiewczy, nie próbowała go tym pytaniem obrazić. Zwyczajnie postanowiła dorównać mu poziomem dziwności, żeby nie czuł się osamotniony w swojej osobliwości.

Co zadziało gorzej, niż gdyby faktycznie go wyśmiała, bo ludzie nie traktowali Juliana w tak wyrozumiały sposób, a już na pewno nie ci zupełnie obcy, którym nie zależało na tym, by czuł się komfortowo. Nie wiedział, jak ma się zachować, więc przeszedł w tryb ofensywny.

– Czy ciebie tu czasami nie miało już nie być? – Od tego pytania powinien był zacząć.

Przecież to, że nie zrobiła tak, jak zapowiedziała, by go przekonać do wynajęcia jej pokoju, było najważniejsze i tylko to go powinno interesować. Nie jej kolor włosów, który tak idealnie pasował do barwy, jaką jej przypisał, gdy tylko ją zobaczył.

– Zmiana planów. – Wyszczерzyła się, nie mając oczywiście pojęcia, że te dwa słowa, które z taką bez troską rzuciła, były jednymi z najbardziej znienawidzonych przez Juliana. – Nie chcę zajmować ci zbyt wiele czasu, więc będę się streszczać. Niechcący podsłuchałam twoją rozmowę z mamą i wiem, że potrzebujecie pracownika. A mnie przydałoby się trochę pieniędzy, więc pomyślałam, że... no wiesz, moglibyśmy sobie pomóc.

Julien nie zawsze wiedział, kiedy ludzie żartują, ale nawet on był pewien, że September właśnie to próbuje zrobić. Nieudolnie.

– N-nie mówisz poważnie, prawda? – spytał dla pewności, jaskając się, jak zawsze, gdy ktoś powiedział do niego coś, na co nie był przygotowany.

Nie mieściło mu się w głowie, że ta sama dziewczyna, która zaledwie kilka godzin temu błagała go, żeby złamał zasady i pozwolił jej zostać w hotelu, teraz próbuje się zatrudnić. Wciąż nie mając żadnych dokumentów.

Ale September jedynie wzruszyła ramionami, jakby jej propozycja była czymś najnormalniejszym na świecie i to on był dziwny, że w ogóle pytał.

– Nie masz żadnego z dokumentów potrzebnych do pracy we Francji jako cudzoziemka, czasu, żeby je załatwić do jutra, ani nawet paszportu czy dowodu osobistego. – Wymienił po bieźnie kilka z wielu powodów, dla których zatrudnienie jej było niemożliwe. – Nie krępuj się i popraw mnie, jeśli w czymś się pomyliłem.

– Nie, nie pomyliłeś się – potwierdziła ani trochę niezrażona. – Za to ty nie masz kelnerki na imprezę, która odbędzie się za mniej niż czterdzieści osiem godzin, żadnej szansy na znalezienie kogoś do tego czasu ani pomysłu, jak sobie z tym poradzić. – Z dziecinną łatwością odbiła piłeczkę, nawet na moment nie tracąc przy tym czarującego uśmiechu. – Nie krępuj się i popraw mnie, jeśli w czymś się pomyliłam.

Właściwie mógłby ją poprawić, gdyby chciał, bo nawet jeśli faktycznie nie wiedział, co zrobić z tym problemem, to rozwiązanie go nie było jego rolą. Corianne była szefową, a Bernard odpowiadał za pracowników, Julien nie miał nawet określonej posady ani konkretnego zakresu obowiązków – zwyczajnie robił wszystko i nic. Pomagał tam, gdzie akurat był potrzebny, zastępował matkę w obowiązkach, kiedy musiał, doradzał jej, kiedy tego potrzebowała, był jej oczami i uszami, ale w tym samym czasie nie miał żadnej faktycznej władzy.

Więc teoretycznie to nie było jego zadanie, żeby znaleźć kogoś na miejsce Emily, i nie mógł zatrudnić September, nawet gdyby tego chciał. A nie chciał, i to z wielu powodów, do których części wołał się nie przyznawać nawet przed samym sobą, ale przede wszystkim dlatego, że jej nie ufał. Nie ufał, bo nie był w stanie pojąć, jak ktoś w przeciągu zaledwie kilku godzin mógł diametralnie zmienić swoje plany bez absolutnie żadnego powodu.

Musiała mieć powód.

– Dlaczego tak ci zależy?

– Pomogłeś mi wczoraj, chociaż nie musiałeś. Po całym tym okropnym dniu, jaki miałam, byłeś jedyną dobrą osobą, na jaką trafiłam. Chcę się odwdziżyć – wyjaśniła ze szczerością, a kiedy dostrzegła, że podejrzliwość w oczach Juliana nie

zmałała, dodała: – Jak wy to mówicie? *Les bons comptes font les bons amis*?⁷

Psotny błysk w jej oczach powiedział Julienowi, że dziewczyna dobrze wie, że jej nieudolne posługiwanie się francuskim działa mu na nerwy, i robi to celowo. Jednak tajemnicą pozostało dla niego, co kazało jej sądzić, że drażnieniem go uda jej się wkupić w jego łaski.

– Niewielka strata, biorąc pod uwagę, że nie masz tutaj przyjaciół.

– *Jeszcze.*

– Nie wydaje mi się, żebyś miała okazję to zmienić, bo tak się składa, że mówimy też: *quand les poules auront des dents*. Prędkiej piekło zamarznie – przetłumaczył na wypadek, gdyby akurat tego przysłowia nie znała. – I dokładnie wtedy zgodziłbym się ciebie zatrudnić. Czyli nigdy.

Podniósł się z krzesła, zdeterminowany, by zakończyć rozmowę, bo jak już miał okazję się przekonać, September nie przyjmowała łatwo słowa „nie”, a on naprawdę chciał pójść do mieszkania i przespać się kilka godzin, zanim wróci do hotelu na kolejną zmianę.

– Mam nadzieję, że uda ci się dostać do Dover – dodał życzliwie i przede wszystkim szczerze.

Nawet jeśli życzył jej tego głównie dla własnego dobra. Nie mógł się doczekać, aż ta niezwykła dziewczyna, która świeciła jasno jak samo słońce, zniknie z jego życia i wszystko wróci do normalności. Julien miał wrażenie, że nawet przez tę krótką chwilę, jaką spędziła w hotelu, udało jej się naruszyć cały jego

⁷ *Les bons comptes font les bons amis* (fr.) – Jeśli chcesz się pozbyć przyjaciela, poproś go o pieniądze

spokój, i przerażało go, co mogłoby się stać, gdyby została dłużej. *Ona* go przerażała.

Wyszedł z hotelowej restauracji w takim pośpiechu, że ostatecznie zapomniał o odniesieniu naczyń do kuchni, ale przynajmniej, kiedy już znalazł się na zewnątrz i ruszył zwirową drogą w dół zbocza, dopadło go kojące uczucie płynące z pewnością, że nigdy więcej nie zobaczy September Vidal.

Wtedy oczywiście nie wiedział jeszcze, że gdyby September mogła za swoją dewizę życiową wybrać jedno francuskie przysłowie, jej wybór bez wahania padłby na: *vouloir c'est pouvoir*.

Chcieć to móc.

A September *bardzo* chciała zostać.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

JULIEN NAUCZYŁ SIĘ WIELE TAMTEGO LATA.

NAUCZYŁ SIĘ ODWAGI. Odwagi, by podejmować ryzyko, zamiast się bać. Odwagi, by mówić, zamiast milczeć. Odwagi, by działać, zamiast marzyć.

NAUCZYŁ SIĘ ŻYĆ. Żyć poza kartkami swojego notatnika. Żyć tak, żeby zamiast wymyślonych historii móc spisywać wspomnienia. Żyć, jakby każdy dzień był ostatnią okazją, by czegoś doświadczyć.

NAUCZYŁ SIĘ KOCHAĆ. Kochać to, że dom to nie zawsze miejsce. Kochać siebie. Kochać kogoś, nawet jeśli odejdzie.

JEDNAK PRZED WSZYSTKIM NAUCZYŁ SIĘ, ŻE SŁOŃCE MA ZŁOTE WŁOSY, OCZY, KTÓRE ZDAJĄ SIĘ WIEDZIEĆ WSZYSTKO, I UŚMIECH BĘDĄCY W STANIE ROZŚWIETLIĆ NAJCIEMNIEJSZĄ NOC. ŻE SŁOŃCE WPADA DO TWOJEGO ŻYCIA BEZ OSTRZEŻENIA, ŻEBY WYWRÓCIĆ JE DO GÓRY NOGAMI. ŻE SŁOŃCE ZAWSZE W KOŃCU ZNIKA.

Ale to w porządku, bo Julien nauczył się też, że nie wszyscy ludzie stają na twojej drodze, by towarzyszyć ci aż do jej końca. Że niektórzy pojawiają się na niej na jedno lato, żeby cię czegoś nauczyć, zanim odejdą w swoją stronę.

ŻE SĄ OSOBY, KTÓRE POZNAJE SIĘ TYLKO PO TO, BY TĘSKNIĆ ZA NIMI PRZEZ RESZTĘ ŻYCIA.



ebook dostępny na:
ebookpoint

